

KAROLINA KASPRZAK-DIETRICH

NIEDOJRZALI

ZAKOCHANI NA ŚMIERĆ

Z SERII:

TRUCICIEL

Karolina Kasprzak-Dietrich

Niedojrzali

Zakochani na śmierć

**z serii
Truciciel**

© Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich

Okładka: Andrzej Konefał

Korekta: Karolina Szastok

ISBN: 978-83-968106-1-8

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

Patronat medialny:



Cieszył ją fakt, że wyjechała już z miasta, że przestały ją bić po oczach te wszystkie czerwone serduszka, którymi obwieszono były ulice, sklepowe wystawy, a nawet miejskie autobusy. Nagle, w czasie tych walentynkowych szaleństw, wszyscy byli w sobie zakochani. Dziwiło ją, dlaczego ludzie na co dzień nie obchodzą się ze sobą tak czule: pary nie trzymają się za ręce, a mężczyźni nie wręczają kobietom kwiatów, dmuchanych serc oraz czerwonych pluszaków o dziwacznych kształtach. Nie potrafiła wyobrazić sobie siebie jako obiektu miłosnych westchnień, może przez przekonanie, że nie zasłużyła na coś takiego. Wzdrygnęła się i zaraz zaczęła nacierać zziębnięte ramiona skryte pod flauszowym płaszczem. Niestety, myśli odzwierciedlały nieczne czyny – już nic nie mogło jej powstrzymać. Wstęgę ciemnej nocy cięły teraz tylko światła rzadko jadących z naprzeciwka samochodów – raziły ją, chyba kierowcę taksówki również, gdyż szybko wyjął ze schowka okulary z żółtymi szybkami i nałożył je, przetarłszy wcześniej oczy rękawem. Szosę z obu stron

zdobiły jedynie pozbawione liści azalie, ich gołe gałęzie tworzyły piękne pergole nad dachem każdego przejeżdżającego szeroką ulicą samochodu. Dwudziestoletnia Zoja Wiśniewska wiedziała, że te drzewa właśnie tak się nazywają, bo całkiem przypadkiem podsłuchiwała rozmowę dwóch miejskich ogrodników – w końcu od roku wte i wewte przemierzała piechotą kilometrówkę, aby obeznać się dokładnie z terenem. Nawet, gdyby nie była świadkiem tej rozmowy, to doskonale pamiętała jaki piękny różowy kwiatostan zdobił korony tych drzew na przełomie maja i czerwca. Sama nie mogła oderwać oczu, wpatrując się w piękne okazy, więc na ten moment nazwa drzew była dla niej nieistotna.

W zasadzie ona już czekała na wiosnę, a może na coś innego... Prychnęła bezgłośnie.

No właśnie, może to nie tęsknota za gorącym słońcem wprowadzała zniecierpliwienie, tylko to: to, co spędzało jej sen z powiek, to, co nie pozwoliło jej cieszyć się życiem, to, co zmusiło ją, by teraz jechała tą trasą w tym kierunku, do tego domu, by zrobiła to, co zaplanowała. Pomimo że znała drogę, to nie potrafiła dokładnie określić, kiedy taksówkarz dojedzie na miejsce, kiedy w końcu wysiądzie pod wskazanym w umowie adresem, by osiągnąć pełne oczyszczenie. Poczula strużkę potu ciekącą po czole, plecach, a nawet po

brzuchu – normalnie rzadko się pociła, była ciepłolubna, a poza tym w taksówce panował chłód. „To pewnie nerwy”, pomyślała. W jej głowie panował teraz prawdziwy chaos. Wszystkie myśli, plany zaczęły się zacierać, ale nie wspomnienia – nie da rady, ona już zawsze będzie pamiętać. Dlatego chęć zemsty była tak silna, że już nic nie mogło jej powstrzymać. Zacisnęła powieki, jakby chciała tym przypieczętować swój zamiar albo może tylko siebie usprawiedliwić. Wpatrzona w jeden punkt obserwowała pojawiające się cienie, które, odbijając się w samochodowej szybie, ćmiąc, przerażały nie mniej, niż cały jej zamysł – owszem, czasem wydawał się jej szalony, ale częściej konieczny. Nawet widmo konsekwencji, którą przecież było w ostateczności więzienie, nie mogło odciągnąć od pomysłu, który zrodził się w jej młodej głowie.

– To jest jedyne wyjście z tej patowej sytuacji, to jest konieczne jak powietrze do życia, to mnie uwolni – szeptała, nie przejmując się tym, że kierowca taksówki dziwnie jej się przygląda. Zaraz potem podkręcił w radio głos, ale tego z kolei nie zarejestrowało ucho spiskującej samej z sobą Zoi.

Taksówkarz spoglądał w milczeniu na pasażerkę, jakby przewidział jej nieczne zamiary, ale czy to było możliwe? Prawdopodobnie wszystko jej się wydawało,

przecież sama przed sobą wstydziła się pomysłu, nad którym namiętnie pracowała już od ponad roku, a ściślej od pogrzebu swojego młodszego braciszka. Chociaż nie, pewnie od momentu, w którym pod kołami czarnego porsche zginął Bruno. Dokładnie pamiętała ten okres, to również było w lutym, w czasie walentynkowych szaleństw, tylko zeszłoroczna zima nie była aż tak łaskawa jak ta, wtedy było śnieżnie i ślisko. Nadal nie potrafiła zrzucić winy na niedogodne warunki pogodowe, na złą aurę, zrzączenie losu. Obwiniąta tylko jego. „To była ewidentnie jego wina!”, powtarzała w myślach.

Z każdym przejechanym kilometrem droga zwężała się, zmieniając z dwupasmówki w jednopasmówkę. Nie było już widać wiotkich, pozbawionych liści drzew ani rzadko osadzonych przydrożnych latarni. Nawet księżyc schował się za chmurami. Czuła narastający lęk, serce jej dygotało, a ona miała wrażenie, że za moment wskoczy jej do gardła i w nim utknie, nie dając już szansy na kolejny oddech. „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”, słyszała miękkie głos matki. Nie! W jej środku coś zawyło. Nie!, powtórzyło. Dobrze robisz! W obawie przed jakąś zapaścią znowu przemówiła do kierowcy. Wołała sprawdzić, czy faktycznie jeszcze jej serce bije.

– Daleko jeszcze? – zapytała tak drżącym i cichym głosem, że ledwo przebił się przez szum radia, które

właśnie straciło zasięg. Przeczesła swoje długie włosy w kolorze włoskiego orzecha i zamrugła nerwowo powiekami. Poczwała, że w kącikach jej oka zebrały się łzy.

– Daleko jeszcze? – powtórzyła pytanie, nieco głośniej i pewniej, zaciskając drobne pięści. Jednocześnie naprawdę się przeraziła, że taksówkarz poznał jej myśli.

– Według GPS-u jakieś trzy kilometry. – Mężczyzna, którego włosy oprószyła już siwizna, uśmiechnął się do przedniego lusterka, a Zoi wydawało się nawet, że nawet do niej mrugnął. Nie wiedząc, skąd ma tyle siły i ochoty, odwzajemniła uśmiech.

„Czyli kierowca wcale nie jest nastawiony do mnie negatywnie”, pomyślała. W rzeczy samej tak było, to ona miała problem. Ten problem pojawił się przed rokiem, a był nim Olaf Zamojski, morderca jej brata, wnuk jej obecnego pracodawcy, do którego właśnie się wybiera. Znowu dopadły ją czarne, jak spakowana dziś na prędko walizka, myśli. Wzdrygnęła się kolejny raz w tej minucie i znowu spojrzała w boczną szybę, podziwiając już tylko mrok – wiedziała, że kryje się za nim tylko pustka. Pragnęła zemsty, jak gdyby wierzyła, że kara, którą postanowiła wymierzyć, przywróci jej bratu życie. Wiedziała, że to niemożliwe, jednak była pewna, że jej pomoże, kiedy zamorduje Olafa, że będzie mogła w końcu zacząć życie od nowa. Jej kłębiące się myśli przerwał głos kierowcy.

– Przepraszam, że pytam – odezwał się kierowca taksówki zachęcony rozmową. Bardzo spodobał mu się głos pasażerki, jeszcze taki dziecinny, skojarzył mu się z niewinnością i nieudawaną dobrocią. – Nie musi mi pani odpowiadać, ale adres, który mi pani podała, Czeremchowa dwanaście, to chyba Zamojscy, to do nich pani się wybiera? Dobrze zgaduję?

Kiwnęła głową na znak, że owszem.

– Mieszkają w pałacu, pozazdrościć – powiedział, z uznaniem kiwając głową, i zaraz dopytał zaciekawiony: – Rodzina?

– Nie – rzuciła Zoja i zamilkła, ale zaraz też, ciesząc się z podjętego dialogu trochę rozpraszającego jej czarne myśli, sprecyzowała: – Będę u nich pracować jako pomoc domowa.

– Pomoc domowa, powiada panienka? – powtórzył taksówkarz, gładząc szorstki zarost na lekko uniesionym podbródku.

– Tak – ucięła krótko. Zapragnęła poprosić kierowcę, aby już o nic więcej nie pytał. Pewnie dlatego, że schwyciła ją chwilowa słabość i miała teraz ochotę wszystko mu wyśpiewać, popłakać się, a nawet opowiedzieć dokładnie, co zaplanowała. Nie mogła jednak do tego dopuścić. Milczenie musi ją uratować, wszak było złotem.

– Rozumiem, stąd ta spakowana walizka. Czyli praca wraz z mieszkaniem i wyżywieniem? – Kierowca nie przeczuwając ani jej zamiarów, ani tego, co w tym momencie czuła, nie czekając też na odpowiedź, kontynuował: – Słyszałem ogłoszenie w radio, oferta wydawała się atrakcyjna. Wie, pani, cały czas za kierownicą to i te wszystkie informacje z lokalnej pierduśnicy się słyszy.

Zamilkł na moment, by po chwili ciągnąć dalej:

– Myślę, że będzie pani miała tam ciepło, stary Zamojski to pocziwiec i zapewne panią ozłoci. Ma tylko jednego spadkobiercę, ale ten to akurat lekkoduch. Po mieście chodzą pogłoski, że tylko czeka na śmierć dziadka, bo chce w tym przepięknym pałacu otworzyć hotel i dyskotekę. Kombinuje jak koń pod górkę, a każdy jego pomysł kończy się niewypałem. No i straszny z niego kobieciarz, a pani taka śliczna. Proszę na siebie uważać – zaznaczył z naciskiem, a Zojka wyczuła, że mężczyzna szczerze się o nią martwi. Poruszyło ją to. Wiedziała, że z Olafa Zamojskiego jest niezłe ziółko, śledziła jego losy, ale czy mogła się z tym zdradzić? Nie, nie chciała.

– O, nie wiedziałam – odpowiedziała i dla niepoznaki, chcąc pokazać, że ten temat wcale jej nie interesuje, zaczęła ziewać.

W zasadzie taksówkarz niczego nie musiał jej mówić. O rodzinie Zamojskich wiedziała prawie wszystko. Od

pogrzebu jej brata zainteresowała się mordercą i jego dziadkiem, Jackiem Zamojskim, który zrobił wszystko, by osłonić wnuka przed odpowiedzialnością. A przecież sam doskonale wiedział, że Olaf nie jest tego wart, bo to nieudolny, niedojrzały mężczyzna, który nigdy nie cieszył się dobrą opinią w tym mieście. Chyba nie było ani jednego człowieka, który o Olafie wypowiedziałby się dobrze. Wszyscy żalowali staruszka, nawet podobno ksiądz z pobliskiej parafii namawiał starego Zamojskiego, by swój cały majątek przepisał na niego i kościół, bo wierni, spowiadając się przed konfesjonalem, mówili najczęściej, że boją się Olafa, że przeraża ich jego romska uroda.

Dla niej był przede wszystkim sprawcą wypadku, w którym zginął jej dziewięcioletni Bruno. Młody Zamojski jechał zdecydowanie zbyt szybko i potracił go na pasach. Nawet nie przyszedł później przeprosić. Nie było go na pogrzebie, by złożyć kondolencję, choć Zoja go wyczekiwała. Chciała zobaczyć w oczach tego mężczyzny skruchę i szczery żal. Jakby jego tupetu było mało, zaraz po wypadku wyjechał na zagraniczne wakacje, a wszelkie formalności na policji załatwił za niego jego dziadek, słynący w mieście z gestu i szczodrej natury. Niektórzy nawet mówili, że ma swoją prywatną fabrykę pieniędzy, bo rzucał tylko zielonymi banknotami

z Sobieskim. Było to niemożliwe, lecz ludzie w mieście ciągle tak żartowali. „Kto ich wie”, myślała Zoja. „Może przepłacił policję i prokuratora?” Dla niej najgorsze przyszło potem, kiedy stróże prawa umorzyli to śledztwo i nikt nie został podciągnięty do odpowiedzialności karnej, a głównym winowajcą został sam Bruno, mały drobny chłopczyk, który nie dożył nawet swoich dziesiątych urodzin. Policjanci jednogłośnie stwierdzili, że to była wina chłopca, bo słuchawki na uszach, bo kaptur na głowie, hulajnoga, jechał za szybko itp. Nawet nie przeczytała pisma, które przyszło do niej z prokuratury, dla niej był to stek bzdur. Jacek Zamojski również do niej nie przyszedł. Czuła się sponiewierana przez los, skopana, a przede wszystkim pokrzywdzona, dlatego teraz jedzie do tego domu, zamieszka tam i sama, we własnej osobie, wymierzy sprawiedliwość. Wiedziała, że nie cofnie się przed niczym. Była zdeterminowana.

Tamtego dnia było zimno i padał śnieg. To stało się szóstego lutego, w zeszłym tygodniu wypadała rocznica wypadku, chociaż jej ciągle wydawało się, jakby to było wczoraj. Nie rozumiała już życia, w sprawiedliwość nie wierzyła. Tym bardziej, że los wcale nie był dla niej łaskawy – od trzech lat, od chwili śmierci jej rodziców, którzy również zginęli w wypadku samochodowy, jakby ciążyła nad rodziną jakaś klątwa. Pomimo szczerých

starań, ciągle miała pod górkę. Gdy zostali z Brunonem sami, poszła do pracy, dorabiała jako ekspedientka w pobliskim markecie. Była już prawie pełnoletnia i nie wyobrażała sobie oddać młodszego brata pod opiekę rodziny zastępczej. Oboje przeżyli żałobę i nawet nauczyli się od nowa cieszyć życiem. Sama Zojka nigdy nie narzekała, choć mogła, bo przez ciężką pracę, opiekę nad bratem i utrzymanie mieszkania, nie podeszła do matury, więc zamknęła sobie poniekąd drogę na studia. Ale i tym wcale się nie martwiła, bo dla niej zawsze najważniejszy był Bruno. Razem z bratem wspierali się, wiedząc, że czasu się nie cofnie. Tylko że to, co spotkało jej rodziców, to był wypadek, a to, co wydarzyło się ponad rok temu, było morderstwem, inaczej nie potrafiła tego nazwać. W tamten pamiętny dzień, musiała akurat zostać dłużej w pracy, ponieważ miała przyjęcie towaru. Zadzwoiła więc do Bruna, aby odebrał od krawcowej spodnie, które zakupiła mu w lumpeksie. Ciężko jej było wiązać koniec z końcem, więc próbowała dorwać każdą okazję, by zaoszczędzić i żeby starczyło do pierwszego. Bruno chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej i bardzo często był wyszydzany: a to, że ma niemodne bluzy albo buty, a to, że zeszłoroczna kurtka – dzieci w jego szkole nie były za grosz wyrozumiałe, to również bolało. Toteż gdy dorwała w sklepie z używaną odzieżą

oryginalne spodnie marki Big Star za jedyne cztery złote, to nawet się nie zawahała, by je zakupić. Wiedziała, że wystarczy skrócić tylko nogawki, a wszyscy będą mu zazdrościć. Dodatkowo miał mieć nazajutrz szkolną imprezę walentynkową połączoną z balikiem karnawałowym. Nigdy na nią nie dotarł. Spieszył się wtedy, sam nie mógł się doczekać, kiedy odbierze wymarzone džinsy, a może chciał też zdążyć do krawcowej przed zmierzchem. Faktycznie, jechał hulajnogą, może i zbyt prędko. Jednak to pieszy, dziecko, każdy dojrzały kierowca powinien zachować szczególną ostrożność na jezdni. Dlaczego Olaf jako jedyny nie wyhamował, a przecież wtedy był spory ruch na jezdni. Obarczała go winą za to nieszczęśliwe zdarzenie i dlatego postanowiła zatrudnić się u Zamojskiego – by móc dokonać samoczyszczenia i unicestwić drania. Chciała, żeby Olaf Zamojski zniknął bezpowrotnie, żeby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Pragnęła jego śmierci, a w tej kwestii była już odczytana. Wiedziała w jaki sposób, nie pozostawiając żadnych śladów, zlikwidować drugiego człowieka. W dobie internetu wiedza jest na wyciągnięcie ręki, nawet ta powszechnie zakazana, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Pokiwała głową na znak uznania dla samej siebie. W zasadzie przez ostatni rok nie robiła nic innego, poza planowaniem tego mordu.

W końcu jej przemyślenia przerwało jedno szarpnięcie, auto się zatrzymało, a ona ujrzała przez okno dość spory murek ozdobiony na słupkach betonowymi kulami oraz porośnięty dzikim pnączem. Roślina musiała być z tych zimozielonych, bo różnej wielkości listki lśniły w blasku księżyca, którego tarcza próbowała przebić się przez równie ciężkie jak jej myśli chmury.

– O, jesteście na miejscu – oznajmił taksówkarz. – To tu – zaznaczył raz jeszcze, również podziwiając tak monstrualny teren bijący po oczach bogactwem, widocznym mimo panującej nocy. – Trzydzieści złotych poproszę.

Mężczyzna wystukał na kasie paragon. Zojka, szarpiąc się ze zbyt wąską kieszenia, wyjęła ostatnie pięćdziesiąt złotych, które zdobyła, pomagając oprosić się swojej ukochanej śwince skarbonce, i wręczyła je kierowcy. Przez moment zrobiło jej się ciemno przed oczami. Przecież tyle wspaniałych przedmiotów zostawiła w swoim poprzednim mieszkaniu, które wynajmowała z Brunem po tragicznej śmierci rodziców. Lokum, w którym mieszkali całą rodziną, zdążyła już dawno zdać do URBIS-u, okazało się zbyt duże na dwie osoby. Razem z Brunem spokojnie mieścili się w większej kawalerce i opłaty były o wiele niższe. Pomimo niewielkiego lokum nie była w stanie wszystkiego spakować do jednej walizki, a i stary Zamojski zaznaczył, że ma ze

sobą wziąć tylko najpotrzebniejsze przybory. Obiecał jej dość spore wynagrodzenie, wiedziała więc, że na nic już nie będzie jej brakować. Jednak nie cieszyło ją to, chciała pomścić brata, a potem mogła już być do końca życia biedna.

– Proszę.

Podawała mu pieniądze i, nie chwytając w swoje ręce paragonu ani reszty, energicznym ruchem otworzyła drzwi od taksówki. Wysiadła z samochodu i stanęła na chwiejnych nogach. Nie potrafiła zaczerpnąć powietrza, dławiła się własnymi myślami, miała wrażenie, że za moment upadnie. Stanęła jednak ostatkiem sił przed ogromną żeliwną bramą i przycisnęła na guzik od domofonu. Dała dwa krótkie sygnały. Uważała, że są bardziej przyjemne dla ucha niż jeden dłuższy, taki przeszywający. Sama nie lubiła, jak ktoś z jej znajomych zjawiał się u niej w mieszkaniu i dzwonił jak na alarm. Według niej świadczyło to o absolutnym braku klasy.

– Halo, resztaaa – zająknął się kierowca. – I walizka! – krzyknął głośniej i zaraz wyszedł z auta, by wydobyć ją z bagażnika.

– Przepraszam, jestem dziś nieco roztrzępana – oznajmiła, trzęsąc się z zimna. – Reszty nie trzeba – uspokoiła taksówkarza.

On uśmiechnął się do niej, wręczając walizkę.

– Myślę, że od tej pory, będą spotykać panią same dobre rzeczy, bo jest pani w dobrych rękach – powiedział bardzo naturalnie, stojąc naprzeciwko niej i spoglądając prosto w jej szmaragdowe oczy. Słysząc było, że jest pewny tych słów jak wróżbita, który właśnie przepowiedział jej przyszłość.

Zoja milczała, język ugrzął jej w gardle i z trudem przełknęła wielką gulę. Mężczyzna postanowił wejść do auta – chyba wyczytał z jej twarzy zdenerwowanie i to, że chce pobyć chwilkę sama. Tyle lat jeździł na taksówce, psychologię miał już opanowaną w małym paluszku.

– Pozdrawiam i powodzenia – rzucił przez uchylone na prędko okno. – A... – odwrócił się jeszcze bardziej w stronę Zoi – naprawdę proszę uważać na tego casanovę, rozkochuje i rzuca dziewczęta, żeby tylko serca pani nie złamał, jest pani taka młodziutka i, przepraszam, wydaje się pani taka naiwna... – nagle urwał, gdyż zobaczył zbliżającą się z wolna dość postawną postać ubraną na czarno. Z oddali połyskiwały czarne lakierki, krok mężczyzny był hardy i pewny, sylwetka wyprostowana, twarz poważna. Nie chciał dostać reprimendy, że szerzy o spadkobiercy tego ogromnego dobytku złą opinię, zresztą to nie były sprawdzone informacje, ludzie tak gadali, to i on powtarzał.